

KATE GOLDEN

SWEET
ONYXES

ŚWIĘTE KAMIEŃ, KSIĘGA 1



Copyright © 2023

Kate Golden

Wydawnictwo Nowe Strony

All right reserved

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:

Alicja Chybińska

Korekta:

Sandra Pętecka

Joanna Boguszewska

Katarzyna Olchowy

Redakcja techniczna:

Paulina Romanek

Projekt okładki:

Paulina Klimek

Druk i oprawa:

Abedik S.A.

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8320-967-8

KATE GOLDEN

ŚWIT ONYKSU

ŚWIĘTE KAMIENIE #1

TŁUMACZENIE

MALWINA STOPYRA

OŚWIĘCIM 2023

Dla Jacka

Dziękuję, że jesteś moim MMC w prawdziwym życiu.

Nauczyłeś mnie, jak wygląda najprawdziwsza miłość.



PIERWSZY

Ryder i Halden prawdopodobnie nie żyli.

Nie wiedziałam, co wywoływało we mnie większe mdłości – przyznanie w końcu tej prawdy przed samą sobą czy może obolałe, palące płuca. Cierpienie tego drugiego rodzaju co prawda spowodowałam sama – ta część mojego porannego biegu była zawsze najbardziej brutalna – ale dzisiaj minął rok, odkąd listy przestały przychodzić, i chociaż przysięgam sobie nie myśleć o najgorszym bez wyraźnego powodu, cisza z ich strony była trudna do zignorowania.

Moje serce załomotało przepelnione żalem.

Starając się wepchnąć nieprzyjemne myśli pod podłogę własnego umysłu, skupiałam się na dotarciu do brzegu polany oraz na tym, żeby nie zwymiotować w trakcie biegu. Przebierałam nogami, machałam ramionami i czułam, że mój warkocz ryt-

micznie uderzał w miejsce między łopatkami, wywołując przywodzący na myśl dźwięk wydobywający się z bębna. Jeszcze tylko kilka kroków.

Dotarwszy w końcu do rozciągającej się niemal po horyzont chłodnej trawy, zatrzymałam się, oparłam dłonie na kolanach i wzięłam głęboki wdech. Polana pachniała jak Królestwo Bursztynu – poranna rosa, drewno z pobliskich wrzosowisk i orzeźwiająca, ziemista woń powoli rozkładających się liści.

Ale głębokie wdechy nie wystarczyły, żeby powstrzymać rozmywanie się wzroku. Padłam na plecy, ciężar mojego ciała zmiażdżył liście z satysfakcjonującym chrzęstem. Polana była nimi zasłana – ostatnie pozostałości po zimie.

Rok temu – w noc przed tym, jak wszyscy mężczyźni z naszego miasteczka zostali powołani, by walczyć za nasze królestwo – moja rodzina zgromadziła się na trawiastym pagórku za domem. Wszyscy razem oglądaliśmy przypominający siniec zabarwiony na różowo zachód słońca tuż za Abbington, naszym miasteczkiem, ten ostatni raz. Potem ja i Halden wymknęliśmy się na tę polanę i udawaliśmy, że on i mój brat, Ryder, wcale nie musieli odejść.

Że pewnego dnia wrócą.

Dzwony zadźwięczały na rynku, odległe, ale na tyle wyraźne, by wyrwać mnie z melancholijnych wspomnień. Podniosłam się do siadu, w moich poplątanych włosach pełno było teraz liści i gałązek. Spóźnię się. Znowu.

Przeklęte Kamienie.

Cholera. Skrzywiłam się i wstałam. Staralam się mniej przeklinać dziewięć Świętych Klejnotów tworzących rdzeń kontyentu. Nie przejmowałam się za bardzo potępianiem boskości stworzenia Evendell, ale nienawidziłam siły przyzwyczajenia, która wzięła się z dorastania w Bursztynie, Królestwie wielbiącym Kamienie z największą bogobożnością i wiarą.

Pobiegłam z powrotem przez polanę w dół ścieżką przy naszej chatce i w stronę właśnie budzącego się miasta. Spiesząc przez alejki, które ledwo mieściły dwie osoby idące w przeciwnych kierunkach, pojawiła się we mnie przygnębiająca myśl.

Abbingdon naprawdę miało kiedyś więcej uroku.

Przynajmniej było urocze w moich wspomnieniach. Brukowane ulice, kiedyś czysto zamiecione i pełne ulicznych muzykantów i radosnych kupców, teraz pokrywały śmieci i wiało na nich pustką. Źle dopasowane ceglane budynki, pokryte bluszczem i ogrzewane błyszczącymi latarniami teraz wyglądały jak walące się ruiny – opuszczone, spalone albo zawalone, powoli stawały się coraz mniej żywe, aż któregoś dnia po prostu znikną.

Zadrżałam, zarówno z powodu tych myśli, jak i pogody. Miałam nadzieję, że chłodne powietrze osuszyło choć trochę wilgoci z mojego czoła; Nora nie lubiła spoconych praktykantów. Otworzyłam skrzypiące drzwi, a w moje nozdrza uderzyła woń etanolu i ostrej mięty. To był mój ulubiony zapach.

– Arwen, to ty? – zawołała Nora, jej głos niósł się echem szpitalnym korytarzem. – Spóźniłaś się. Gangrena pana Doyle’a jest coraz bardziej zaawansowana. Może stracić palec.

– Że co mogę stracić? – zaskrzeczał ktoś męskim głosem za zasłoną.

Posłałam Norze miazdzące spojrzenie i wśliznęłam się do prowizorycznego pokoju, oddzielonego bawełnianymi prześcierałkami.

Przeklęte Kamienie.

Pan Doyle – starszy, łysy mężczyzna, który wyglądał, jakby miał tylko czoło i uszy – leżał w łóżku, przyciskając do piersi uszkodzoną dłoń, jakby była skradzionym deserem, który ktoś zamierzał mu odebrać.

– Nora tylko żartuje – powiedziałam, przysuwając sobie krzesło. – To jej zabawne i bardzo profesjonalne poczucie humoru.

Upewnię się, że wszystkie palce pozostaną na swoim miejscu, obiecuję.

Ze sceptycznym prychnięciem pan Doyle puścił swoją dłoń, a ja musiałam postępować bardzo ostrożnie, zdejmując warstwy gnijącej skóry.

Mój dar mrowił w opuszki palców, chętny do pomocy. Nie byłam pewna, czy dzisiaj go potrzebowałam, lubiłam dokładną pracę, a gangrena to rutynowe postępowanie.

Ale nigdy nie wybaczyłabym sobie, gdybym złamała obietnicę wobec zrzędlivego pana Doyle'a.

Nakryłam jedną dłoń drugą, jakbym nie chciała, żeby widział, jak makabryczne były jego obrażenia – stałam się naprawdę dobra w przemyśnianiu moich mocy w leczeniu pacjentów. Pan Doyle zamknął oczy i odchylił głowę, a ja pozwoliłam, by iskra czystego światła popłynęła z moich palców, jakbym wyciskała sok z cytryny.

Gnijące ciało ogrzało się i zaróżowiło raz jeszcze, zdrowiejąc na moich oczach.

Byłam dobrą uzdrowicielką. Nawet świetną. Miałam pewną rękę, potrafiłam zachować spokój pod presją i nigdy nie mdliło mnie na widok czyichś wnętrzności. Ale potrafiłam też leczyć na sposoby, których nie da się nauczyć. Moja moc była pulsującym, nieregularnym światłem, które wypływało z dłoni i wsączało się w innych, przechodząc przez ich żyły i tętnice. Potrafiłam zespoić złamaną kość, przywrócić kolory zniszczonej grypą twarzy i zasklepić ranę, nie zakładając szwów.

Tak, nie były to powszechne czary. Nie miałam w rodzinie żadnych czarownic ani czarodziejów, a nawet gdybym miała, kiedy używałam mojej mocy, nie wypowiadałam żadnego zaklęcia, po którym następował podmuch wiatru i nastawała cisza. Mój dar po prostu wypływał z mojego ciała, za każdym razem wysączając ze mnie energię i rozum. Czarownice mogły używać magii bezustannie z odpowiednią księgą zaklęć i kuratelą. Moje

umiejętności miały swój limit, a jeśli pracowałam zbyt ciężko, mogły mnie wyczerpać. Czasami trzeba było kilku dni, żeby moc zregenerowała się całkowicie.

Za pierwszym razem wyczerpałam się przy ofercie wyjątkowo brutalnego poparzenia, myślałam wtedy, że straciłam dar na dobre – ogarnęła mnie wtedy niewytłumaczalna mieszanka ulgi i przerażenia. Kiedy wreszcie magia wróciła, powiedziałam sobie, że byłam wdzięczna. Wdzięczna za to, że kiedy dorastałam, pokryta siniakami albo z kończynami powyginanymi pod dziwnym kątem, mogłam się wyleczyć, zanim moja matka albo rodzeństwo dostrzegli, co robił mi ojczym. Wdzięczna, że mogłam pomóc tym wokół mnie, którzy cierpieli. I wdzięczna, że mogłam zarobić przyzwoicie w tych trudnych czasach, jakie obecnie mieliśmy.

– W porządku, panie Doyle, dłoń jest jak nowa.

Staruszek posłał mi bezżębny uśmiech.

– Dziękuję. – Pochylił się do mnie konspiracyjnie. – Nie sądziłem, że zdołasz ją uratować.

– Pański brak wiary we mnie rani – zażartowałam.

Ostrożnie wyszedł z pokoju, a ja poszłam za nim do korytarza. Kiedy opuścił szpital, Nora pokręciła głową, patrząc na mnie uważnie.

– Co?

– Zbyt radośnie – powiedziała, ale jej usta uniosły się w uśmiechu.

– To ulga mieć pacjenta, który nie stoi u wrót śmierci. – Skrzywiłam się. Pan Doyle był w zasadzie dość stary.

Nora tylko prychnęła i ponownie skupiła się na gazie w swojej dłoni. Ja poprawiłam łóżka i zajęłam się dezynfekowaniem narzędzi chirurgicznych. Powinnam się cieszyć tym, jak niewielu pacjentów dzisiaj mieliśmy, ale od ciszy skręcał mi się żołądek.

Uzdrowianie odciągało moje myśli od brata i Haldena. Pomagało poradzić sobie z bólem ściskającym moje serce z powodu ich

nieobecności. Zupełnie jak bieganie, uzdrawianie miało w sobie właściwości medytacyjne, które kołły mój rozszalały mózg.

Cisza działała odwrotnie.

A jednak nie spodziewałabym się, że będę podekscytowana przypadkiem gangreny; wydawało się, że wszystkie dolegliwości nie oznaczające pewnej śmierci, okazywały się zwycięstwem dnia. Oczywiście większość pacjentów to żołnierze – zakrwawieni, posiniaczeni i połamani po walce – albo sąsiedzi, których znałam przez całe życie, cierpiący z powodu pasożytów w kiepskim jedzeniu, które udało im się zdobyć. To przynajmniej był lepszy los niż śmierć głodowa. Pasożytów można było się pozbyć w szpitalu. Niekończącego się głodu już nie.

I mimo całego tego bólu i cierpienia, utraty ukochanych osób, zniszczonych domów nadal pozostawało tajemnicą, dlaczego Królestwo Onyksu w ogóle rozpoczęło z nami wojnę. Nasz Król Gareth nie był kimś, kto zostanie opisany w historycznych księgach, ziemie Bursztynu nie były znane z niczego poza rolnictwem. Zaś ziemie królestwa takiego jak Granat obfitowały w monety i klejnoty. Góry Perłowe miały antyczne zwoje i najbardziej poszukiwanych na kontynencie uczonych. Nawet Terytoria Opalu z ich destylarniami i nietkniętą glebą albo Prowincje Perydotu, z ich mieniącymi się jaskiniami, wypełnionymi ukrytymi skarbami, byłyby lepszym miejscem, by zacząć stopniowe wspinanie się po szczeblach władzy nad całym Evendell. Ale jak dotąd wszystkie pozostałe królestwa pozostały nienaruszone i tylko Bursztyn starał się przetrwać.

A jednak żadne inne królestwo nie walczyło u naszego boku.

Jednocześnie Onyks opływał w bogactwa, klejnoty i złoto. Mieli najwięcej ziem, najwspanialsze miasta – a przynajmniej tak słyszałam – i największą armię. A jednak nawet to im nie wystarczało. Król Onyksu, Kane Ravenwood, był zarówno imperialistyczny, jak i nienasycony. Ale co najgorsze, okazał się bezbrzeżnie okrutny. Naszych generałów często znajdowano

z pozawiazywanyimi na supel kończynami, czasami obdartych ze skóry albo ukrzyżowanych. Brał i brał, i brał, aż nasze ubogie królestwo nie miało już zbyt wiele do zaoferowania, więc zaczął zadawać ból dla rozrywki. Niszczył nas dla zabawy.

Jedynym wyjściem pozostawało patrzeć na jasną stronę. Nawet jeśli była mglistą, niewyraźną jasną stroną, a przejście na nią wymagało przekupstwa lub układów. Jak twierdziła Nora, właśnie dlatego trzymała mnie blisko.

Masz do tego dryg, jesteś niepoprawną optymistką, a twoje cycki przyciągają lokalnych chłopców do oddawania krwi.

Dziękuję ci, Noro. Jesteś wspaniała.

Zerknęłam na nią, odkładając koszyk pełen bandaży i maści.

Nie była najmilszą osobą, ale Nora to jedna z najbliższych przyjaciółek mojej matki i pomimo jej ostrej powierzchowności, była na tyle troskliwa, żeby dać mi tę pracę i dzięki temu pozwoliła mi zaopiekować się rodziną po odejściu Rydera. Pomagała nawet przy mojej siostrze, Leigh, kiedy matka była zbyt chora, żeby zabrać ją na lekcje.

Mój uśmiech wywołany uprzejmością Nory zbladł na myśl o matce – dziś rano czuła się zbyt słaba, żeby chociaż otworzyć oczy. Nie umknęła mi ironia tego, że choć byłam uzdrowicielką, moja matka powoli umierała z powodu dolegliwości, której nikt z nas nie mógł zidentyfikować.

Co gorsze – i może jeszcze bardziej ironiczne – moja umiejętność nigdy na nią nie działała. Nawet gdyby chodziło tylko o zacięcie papierem. Kolejny znak, że moja moc nie przypominała takiej należącej do zwykłej czarownicy, a była czymś o wiele dziwniejszym.

Moja matka chorowała, odkąd byłam na tyle duża, żeby mówić, ale pogorszyło jej się w ciągu ostatnich kilku lat. Jedynym, co pomagało, okazały się lekarstwa, które Nora i ja przygotowaliśmy razem – mikstury zrobione z paciorecznika i rodanów – narodowych kwiatów Bursztynu, zmieszanych z olejkami

ravensara i drzewem sandałowym. Ale ulga zawsze przychodziła na krótko, a jej ból wzrastał się z każdym dniem.

Potrząsnęłam głową, żeby odgonić nieprzyjemne myśli.

Nie mogłam się teraz na tym skupiać. Jedyne, co się liczyło, to zaopiekowanie się nią i moją siostrą tak dobrze, jak potrafiłam teraz, kiedy Rydera nie było.

A możliwe, że on już nigdy nie wróci.

– Nie, źle mnie usłyszałaś! Nie powiedziałam, że był „*śliczny*”, tylko „*bystry*”. W sensie mądry i światowy – oświadczyła Leigh, wrzucając kawałek drewna do paleniska.

Przygryzłam wargę, żeby ukryć uśmiech i wyjęłam trzy małe miseczki z szafki.

– Mhm, jasne. Po prostu myślę, że trochę się zabujałaś, to wszystko.

Leigh wywróciła bladoniebieskimi oczami, krzątając się po naszej maleńkiej kuchni, żeby przygotować sztuce i kubki. Nasz dom był ciasny, chwiejny i nie wszystko działało w nim jak trzeba, ale kochałam go całym sercem. Pachniał tabaką Rydera, wanilią, której używaliśmy do pieczenia, i aromatyczną białą lilią. Szkice Leigh wisiały na prawie każdej ścianie.

Za każdym razem, kiedy wchodziłam do środka, na moich ustach pojawiał się uśmiech.

Umiejscowiony na małym wzgórzu, z którego rozciągał się widok na prawie całe Abbington i z trzema dobrze ogrzewanymi pokojami, był jednym z ładniejszych domów w wiosce. Mój ojczym, Powell, wybudował go dla mojej matki i dla mnie, zanim urodziło się moje rodzeństwo. Kuchnia to moje ulubione miejsce do siedzenia, z drewnianym stołem, zrobionym przez Powella i Rydera pewnego lata, kiedy wszyscy byliśmy młodszy, a matka zdrowsza.

Niesamowite, jak ciepłe wspomnienia uczepiły się struktury naszego domu, w przeciwieństwie do tego, co wirowało w mojej głowie i żołądku, kiedy myślałam o surowej twarzy i zaciśniętych szczękach Powella. Bliznach na moich plecach od jego pasa.

Zadrzałam.

Leigh wcisnęła się obok mnie, wyrrywając z pajęczyny wspomnień, i podała mi garść korzeni i ziół do lekarstwa matki.

– Proszę. Nie mamy już więcej rozmarynu.

Zerknęłam w dół, na jej blond głowę i zakiełkowało we mnie ciepło – zawsze była promienna, nawet przy rozpaczynie niesionej przez otaczającą nas wojnę. Radosna, zabawna, śmiała.

– Co? – zapytała, patrząc na mnie zmrużonymi oczami.

– Nic – odparłam, przygryzając wargę.

Właśnie zaczęła postrzegać samą siebie jako dorosłą i nie tolerowała już traktowania jak dziecko. Pełne miłości spojrzenia, wyrażające uwielbienie ze strony starszej siostry widocznie nie były już dozwolone. Nawet mniej jej się podobało, kiedy próbowałam ją chronić.

Przełknęłam z trudem ślinę, wrzucając zioła do bulgocącego nad paleniskiem kociołka.

Ostatnio w tawernach, szkołach i na targach krążyły pogłoski. Mężczyzn już nie ma – Ryder i Halden najprawdopodobniej oddali życie – a my nadal przegrywaliśmy z okrutnym królestwem na północy.

Kobiety będą następne.

Nie chodziło o to, że nie potrafiłyśmy tego, co mężczyźni. Słyszałam, że armia Królestwa Onyksu była pełna silnych, bezwzględnych kobiet, które walczyły ramieniem z mężczyznami. *Ja* po prostu tak nie potrafiłam. Nie mogłabym odebrać komuś życia za moje królestwo, nie umiałabym nawet walczyć za siebie. Na samą myśl o opuszczeniu Abbington, włoski na karku stawały mi dęba.

Ale najbardziej martwiłam się o Leigh. Była zbyt nieustraszona. Młodość pozwalała jej myśleć, że jest niepokonana, a głód uwagi sprawiał, że stawiała się głośna, ryzykowna i odważna do granic lekkomyślności. Na samą myśl o jej złotych lokach podskakujących na linii frontu, skręcało mnie w żołądku.

Gdyby tego było mało, jeśli obie zostałybyśmy powołane do walki przeciwko Onyksowi, nasza matka zostałaby sama. Zbyt stara i krucha, żeby walczyć, mogłaby uniknąć poboru, ale nie potrafiłaby się sobą zająć. Bez trójki dzieci nie przeżyłaby tygodnia.

W takim razie, jak miałam ich ochronić?

– Nie mogłabyś bardziej mylić się w kwestii Jace’a – powiedziała Leigh, wskazując na mnie widelcem, usiłując wcisnąć mi fałszywe zapewnienia. – Nigdy w życiu się w nikim nie bujałam. A na pewno nie w nim.

– W porządku – odpowiedziałam, szukając w szafce marchewek. Zastanawiałam się, czy Leigh rozpraszała mnie celowo, czy wiedziała, że się martwiłam. Zwykle tak było, więc by się nie pomyliła.

– Szczerze mówiąc – ciągnęła, siadając przy kuchennym stole i podwijając nogi pod siebie – nie obchodzi mnie, co myślisz. Jaki ty masz gust! Kochasz się w Haldenie Brownfieldzie. – Zrobiła zde gustowaną minę.

Puls podskoczył mi na wspomnienie jego imienia, przypominałam sobie datę i moje lęki z dzisiejszego ranka. Pokręciłam głową, słysząc oskarżenia Leigh.

– Nie kocham się w nim. Lubię go. Jako osobę. W zasadzie jesteśmy tylko przyjaciółmi.

– Mhm, jasne – mruknęła, wyśmiewając moje wcześniejsze insynuacje wobec niej i Jace’a.

Pokroiłam marchewki na kolację do oddzielnego garnka, stojącego obok lekarstwa matki. Wielozadaniowość stała się jedną z moich mocnych stron od czasu wyjazdu Rydera. Otworzyłam

okno nad paleniskiem, pozwalając, by część gorącego powietrza z obu kociołków uleciała na zewnątrz. Chłodna, wieczorna bryza owionęła moją lepką od potu twarz.

– A tak w ogóle, co jest nie w porządku z Haldenem? – zapytałam, bo dopadła mnie ciekawość.

– Nic, naprawdę. Po prostu był nudny. I zrzedliwy. I ani trochę nie potrafił się wygłupiać.

– Przestań mówić „był” – burknęłam, z większą zgryźliwością, niż zamierałam. – Nic mu nie jest. Im obu.

To nie kłamstwo. Tylko ta sama jasna strona myślenia, która czasem ocierała się o wyparcie. Leigh wstała, żeby nakryć do stołu, zbierając niepasujące do siebie kubki, i nalać cydru.

– A Halden potrafi się wygłupiać i jest interesujący... no i zrzedliwy – przyznałam. – To muszę ci oddać. Jest trochę spięty.

Leigh uśmiechnęła się, wiedząc, że tu mnie ma.

Przyjrzałam się siostrze. Tak bardzo dorosła w tak krótkim czasie, że nie byłam już pewna, przed jakimi informacjami ją chroniłam.

– W porządku – zgodziłam się, mieszając w obu kociołkach jednocześnie. – Spotykamy się.

Leigh sugestywnie uniosła brwi.

– Ale naprawdę nie było żadnego „zakochania”, o którym można by mówić. Na Kamienie.

– Dlaczego nie? Bo wiedziałaś, że będzie musiał odejść?

Mój wzrok spoczął na palenisku, patrzyłam, jak niewielkie płomienie podskakiwały i zastanawiałam się nad szczerą odpowiedzią.

To płytkie, ale pierwsze, co przyszło mi do głowy, kiedy usłyszałam jego imię, to włosy. Czasami, zwłaszcza w świetle księżyca, jego blond loki wyglądały na tak blade, że prawie świeciły. W zasadzie to było pierwsze, co mnie do niego przyciągnęło – to jedyny chłopak o jasnych włosach w naszej wiosce. Bursz-

tyn wydawał na świat głównie czekoladowych brunetów, jak ja, albo ciemnych blondynów, jak Leigh i Ryder.

Zadurzyłam się w tych lodowato blond włosach już w wieku siedmiu lat. On i Ryder mniej więcej wtedy stali się nierozłączni. Pewna, że wyjdę za niego za mąż, nie zadawałam sobie trudu, żeby śledzić każdą ich przygodę i rozważać wszystkie zabawy, po których wracali z podrapanymi kolanami. Uśmiech Haldena sprawiał, że czułam się bezpiecznie. Poszłabym za nim wszędzie. Tego dnia, kiedy komisja poborowa zawitała do Abbington, to był pierwszy raz, kiedy widziałam, że jego uśmiech zbladł.

Wtedy oraz kiedy zobaczył moje blizny.

Ale skoro byłam zakochana w Haldenie od dzieciństwa, dlaczego nie miałam wrażenia, że to miłość, kiedy pierwszy raz zobaczył we mnie to, co ja widziałam w nim od dawna?

Nie miałam na to dobrej odpowiedzi, a na pewno nie takiej, która byłaby odpowiednia dla dziesięciolatki. Czy to dlatego nie darzyłam go miłością, ponieważ nigdy nie widziałam, żeby komukolwiek układało się w związku, zwłaszcza mojej matce? Albo dlatego, że czasami pytałam go, co sądził o ekspansji już i tak rozległych ziem Onyksu, a jego lekceważące odpowiedzi sprawiały, że czułam się rozdrażniona z powodów, których do końca nie rozumiałam? Może odpowiedź była dużo gorsza. Taka, która jak miałam nadzieję, nie była prawdziwa, ale bałam się jej najbardziej – że nie potrafiłam wykrzesać z siebie takiego uczucia.

Nie było nikogo, kto zasługiwałby na to bardziej niż Halden. Nie było nikogo, z kim moją przyszłość widzieliby matka, Ryder i Powell. Oczywiście poza Haldenem.

– Nie wiem, Leigh. – Taka była prawda.

Skupiłam uwagę z powrotem na przygotowaniu kolacji i kroїłam warzywa w ciszy. Leigh wyczuła, że skończyłam już ten temat przesłuchania. Kiedy lekarstwo matki skończyło się goto-

wać, przeniosłam je na blat, żeby wystygło. Napelnę nową fiolkę w sakiewce przy szafce, jak zawsze.

Może zdołałabym to zrobić – zaopiekować się nimi sama.

Słownawy aromat duszonych warzyw zmieszany z medyczną wonią lekarstwa matki poniósł się po domu. Był to znajomy zapach. Komfortowy. Bursztyn otaczały góry, co oznaczało, że w dolince, gdzie mieszkaliśmy, zawsze porankami panował chłód, dni były rześkie, a noce zimne. Każde drzewo miało brązowe liście przez cały rok. Na kolarcję zawsze była kukurydza, kabaczek, dynia i marchew. Nawet najsrozsze zimy przynosiły tylko deszcz i gołe gałęzie, a w najgorętsze lata, jakie pamiętałam, mieliśmy zaledwie dwa zielone drzewa. Przez większość czasu, każdego dnia roku było tu buro i wietrznie.

A po dwudziestu latach miałam takie dni, kiedy czułam, że zjadłam już dość kukurydzy i kabaczka do końca życia. Staralam się wyobrazić sobie moje dni wypełnione innymi smakami, krajobrazami, ludźmi... Ale widziałam tak niewiele, fantazje się rozmywały i stawały niewyraźne jak chaotyczny zbiór książek, które przeczytałam, i historii, które usłyszałam przez te lata.

– Pachnie niebiańsko.

Odnalazłam wzrokiem matkę, która wkroczyła chwiejnie do środka. Była dzisiaj lekko wstawiona, wilgotne włosy splecione w warkocz przerzuciła przez ramię. Miała tylko czterdzieści lat, ale chude ciało i zapadnięte policzki ją postarzały.

– Pozwól, że ci pomogę – powiedziałam, podchodząc do niej.

Leigh zeskoczyła ze stołu, pozostawiając jedną niezapaloną świecę, i stanęła u jej drugiego boku.

– W porządku, naprawdę – powiedziała do nas, ale zignorowałyśmy ją.

Na tym etapie to stało się dobrze wyreżyserowanym tańcem.

– Róże i ciernie? – zapytała, kiedy posadziłyśmy ją przy stole.

Moja słodka matka, która pomimo chronicznego zmęczenia, bólu i cierpienia, zawsze szczerze interesowała się tym, co przy-

darzyło nam się w ciągu dnia. Której miłość do kwiatów wpasowała się w naszą wieczorną rutynę.

Matka przyjechała ze mną do Abbington, kiedy miałam niecały rok. Nigdy nie poznałam ojca, ale Powell był chętny, żeby się z nią ożenić i przyjąć mnie jak swoje dziecko. Ryder urodził się niecały rok później, a Leigh siedem lat potem. W naszym tradycyjnym mieście kobieta z trójką dzieci była rzadkością, w tym jedno z innym ojcem niż pozostałe. Ale ona nigdy nie pozwoliła, żeby nieuprzejme słowa przyćmiły blask, którym promieniowała każdego dnia. Pracowała niestrudzenie przez całe życie, żeby dać nam dach nad głową, pełne brzuchy i więcej śmiechu oraz miłości każdego dnia, niż większość dzieci miało przez całe życie.

– Moja róża uratowała palce pana Doyle’a przed amputacją – zaczęłam.

Leigh wydała z siebie dźwięk, jakby wymiotowała. Opuściłam sobie cierń. Jeśli jeszcze sobie tego nie uświadomiły, nie zamierzałam być tą, która podzieli się z nimi informacją, że miają rok, odkąd Ryder ostatnio napisał.

– Moja, to kiedy Jace powiedział mi...

– Jace to chłopak, którego Leigh uważa za uroczego – prze-rwałam i posłałam matce konspiracyjne spojrzenie.

Mrugnęła do mnie teatralnie, a Leigh zmrużyła oczy, patrząc na nas obie.

– Jego kuzyn jest posłańcem w armii, dostarcza plany bezpośrednio od króla Garetha do jego generałów tam, gdzie nawet kruki nie mogą dotrzeć – powiedziała Leigh. – Ten kuzyn powiedział mu, że w stolicy Onyksu widział mężczyznę ze skrzydłami. – Jej oczy zrobiły się duże i niebieskie jak morze.

Spojrzałam na matkę, słysząc ten absurd, ale ona tylko skinęła uprzejmie Leigh. Staralam się zrobić to samo. Nie powinnyśmy się tak z niej naśmiewać.

– Bardzo ciekawe. Wierzysz mu? – zapytała mama, w zamyśleniu podpierając głowę dłonią.

Leigh rozważała to, podczas gdy ja skubałam gulasz.

– Nie, nie wierzę – oznajmiła po zastanowieniu. – Przypuszczam, że spotkanie żywego Fae jest możliwe, ale podejrzewam, że to raczej jakaś magia. Prawda?

– Zgadza się – przytaknęłam, chociaż wiedziałam lepiej. Fae zostali całkowicie zniszczeni lata temu. O ile w ogóle kiedykolwiek istnieli. Ale nie chciałam zniszczyć jej wymyślonej bańki.

– Widzę, czemu jesteś taka zakochania w Jasie. Jest w posiadaniu wszystkich dobrych informacji. – Uśmiechnęłam się do Leigh.

Moja matka przygryzła wargę, żeby się nie uśmiechnąć. To by było na tyle w kwestii nieśmiania się. Siła przyzwyczajenia.

Leigh zmarszczyła brwi i zaczęła tyradę o tym, jak *oczywiście* nie ma żadnych romantycznych uczuć wobec tego chłopca. Uśmiechnęłam się szeroko, aż za dobrze znając tę śpiewkę.

Historyjki takie jak kuzyna Jace’a ciągle krążyły wśród ludzi. Zwłaszcza w odniesieniu do Willowridge, owianej tajemnicą stolicy Onyksu. W wieczór przed odejściem Halden powiedział mi, że według pogłosek pełno tam było różnych potwornych stworzeń. Smoków, goblinów, ogrów – widziałam, że próbował mnie nastraszyć w nadziei, że skryję się w jego bezpiecznych ramionach i pozwolę mu chronić się przed wszystkim, co znajdowało się poza granicami naszego królestwa.

Ale to mnie w ogóle nie przeraziło. Wiedziałam, jak brzmiały te opowieści. Mężczyźni, z historii na historię coraz bardziej rozwinięci i utalentowani, zmieniani przez klątwę w jakies przerażające bestie dzierżące nieznaną moc i zdolne do niewypowiedzianych tortur. W rzeczywistości byli tylko... mężczyznami. Podłymi, głodnymi władzy, skorumpowanymi, zdeprawowanymi *mężczyznami*. Niczym więcej, niczym mniej i w niczym nie gorszymi od tego, który mieszkał w moim własnym domu. Mój ojczym był bardziej podły i okrutny niż jakikolwiek potwór z opowieści.

Nie wiedziałam, czy ta prawda przyniosłaby Haldenowi więcej, czy mniej strachu tego dnia, kiedy on i Ryder zostali wysłani na wojnę. Mnie na pewno by nie pomogło, gdyby zmuszono mnie i Leigh do walki w następnej kolejności.

Prawda była taka, że nasz król Gareth robił, co w jego mocy, ale Onyks miał dużo potężniejszą armię, lepszą broń, silniejszych sojuszników i z pewnością wiele innych zalet, o których nie miałam pojęcia. Mogłabym przysiąc, że Onyks nie wygrywał tej wojny tylko z powodu jakiegoś wielkiego złego stwora, który czał się w ciemności.

Westchnienie mojej matki odciągnęło moje myśli od podłych, skrzydlatych kreatur i skierowałam je z powrotem na naszą ciepłą drewnianą kuchnię. Ostatnie promienie światła słonecznego wsączały się do pomieszczenia, sprawiając, że tańczące na paleńniku płomienie rzucały cienie na jej bladą twarz.

– Moją różą jest ten gulasz i dwie piękne dziewczyny siedzące przede mną. Moja uprzejma i odpowiedzialna Arwen – szepnęła i odwróciła się do mojej siostry. – Moja śmiała, odważna Leigh.

Przełknęła. Moimi żyłami popłynął lód. Wiedziałam, co miało teraz nastąpić.

– A cierniem jest mój syn, za którym tak bardzo, bardzo tęsknię. Ale minął rok, odkąd mieliśmy od niego wieści. Myślę...

– Westchnęła. – Myślę, że czas zaakceptować, że on...

– Ma się dobrze – przerwałam jej. – Ryderowi nic nie jest. Nie mogę sobie nawet wyobrazić, jak trudno musi być przemycić list w warunkach, w jakich zapewne się znajduje.

– Arwen – zaczęła matka, jej głos był ciepły i pocieszający, sprawiał, że skóra mrowiła mnie od jego delikatności.

Ja jednak paplałam wbrew niej.

– Możesz sobie wyobrazić wysłanie listu do takiego małego miasteczka jak nasze ze środka dżungli? Albo... z lasu? Ze środka oceanu? Kto wie, gdzie on jest? – Zaczynałam brzmieć histerycznie.

– Mnie też sprawia to ogromny smutek, Arwen. – Słaby głosik Leigh był nawet trudniejszy do zniesienia. – Ale myślę, że matka może mieć rację.

– Zdrowo jest o tym rozmawiać – powiedziała mama, ujmując moją dłoń w swoją. – O tym, jak bardzo za nim tęsknimy, jak trudno będzie żyć dalej bez niego.

Przygryzam wargę, ich poważne twarze rozdzierały mnie na pół. Wiedziałam, że miały rację. Ale powiedzenie tego na głos...

Choć jej dotyk był kojący, odsunęłam dłoń i odwróciłam twarz do okna, pozwalając, by wieczorna bryza szeptała tuż przy mojej twarzy, i zamknęłam oczy, żeby uspokoić doznania.

Moje płuca wypełniło wieczorne powietrze.

Nie mogłam być tą, która wszystko im utrudni.

Objęłam dłońmi miskę, żeby opanować ich drżenie, odwróciłam się twarzą do mojej jedynej, pozostałej rodziny.

– Macie rację. Jest mało prawdopodobne, że on...

Ogłuszający dźwięk otwierania naszych drzwi frontowych sprawił, że miska wypadła mi z rąk i roztrzaskała się na podłodze. Pomarańczowa ciecz rozchlapała się wszędzie jak świeża krew. Odwróciłam się i zobaczyłam, że twarz mojej matki rozciąga się w szoku.

Przed nami, dysząc ciężko, z zakrwawioną twarzą, opierając się o framugę drzwi, żeby wesprzeć wykręconą rękę, stał mój brat, Ryder.